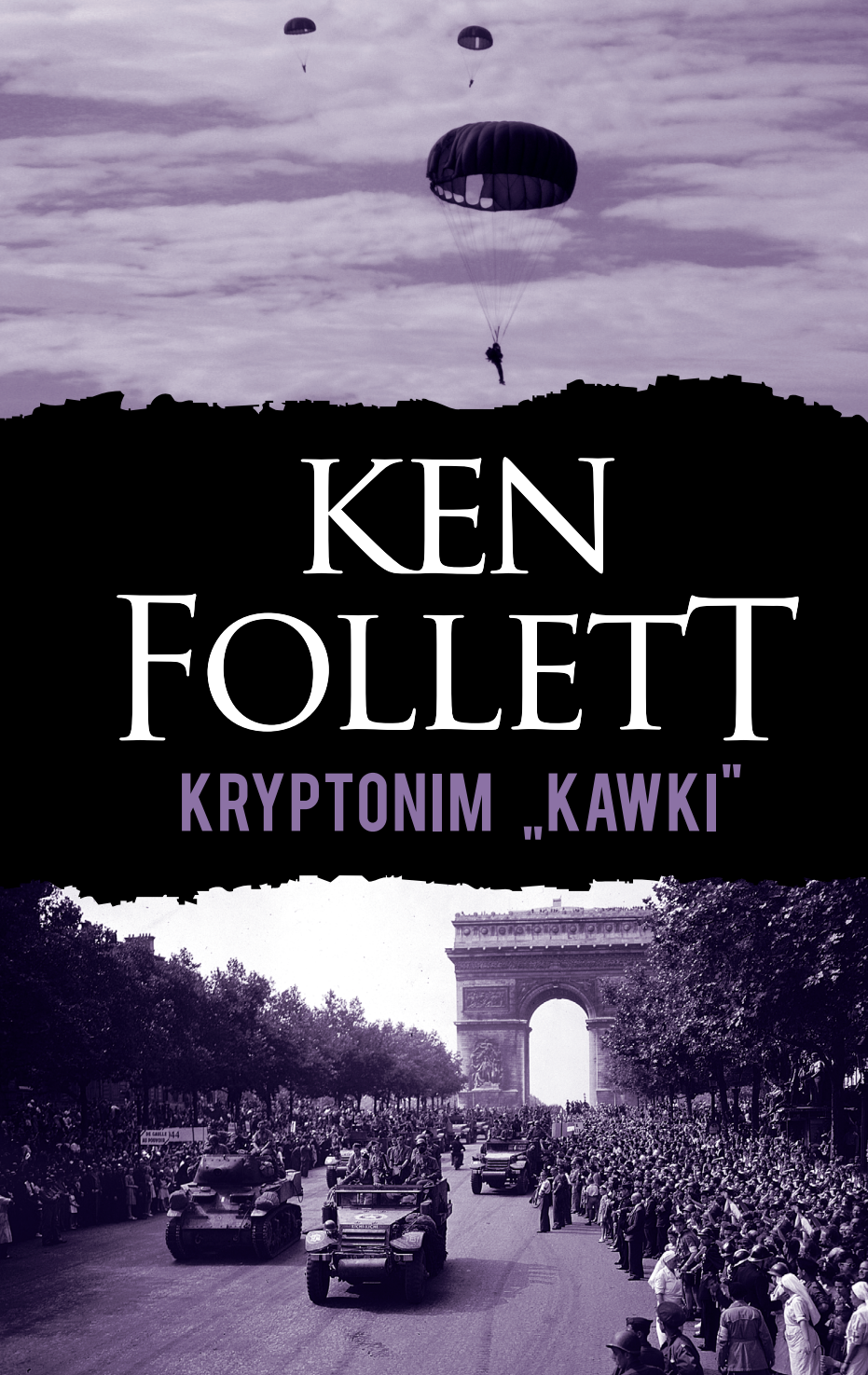




KEN FOLLETT

KRYPTONIM „KAWKI”

Na minutę przed wybuchem na rynku w Sainte-Cécile panował idealny spokój. Wieczór był pogodny, a warstwa parnego powietrza spowijała miasto niczym ciepły kocyk. Dzwon kościelny dudnił od niechcenia, wzywając wiernych na modlitwę. W uszach Felicity Clairret brzmiało to jak odliczanie.

Nad rynkiem dominował siedemnastowieczny pałac z imponującą bramą. Po trosze przypominał zmniejszoną wersję Wersalu. Boczne skrzydła budowli łamały się pod kątem prostym i ciągnęły gdzieś w tył. Nad piwnicą wznosiły się dwa piętra i dach upstrzony wysokimi oknami.

Felicity, przez wszystkich nazywana Flick, wprost uwielbiała Francję. Kochała urocze domy, łagodny klimat, leniwy czas za suto zastawionym stołem i zwyczaje tubylców. Kochała francuskie malarstwo, francuską literaturę i modne francuskie ciuszki. Turyści z Europy na ogół uważali Francuzów za gburów. Ona jednak miała to szczęście, że od szóstego roku życia mówiła po francusku. Nikt więc tu nie brał jej za cudzoziemkę.

Złościło ją, że jej kochana Francja w zasadzie już nie

istniała. Nie starczało żywności na wykwintne obiady, hitlerowcy ukradli większość słynnych obrazów, a w modnych ciuszkach chodziły tylko dziwki. Flick — tak jak każda przeciętna dziewczyna — miała dzisiaj na sobie niezgrabną sukienkę, tak spraną, że niemal bezbarwną. W głębi serca wierzyła jednak, że wróci dawna Francja. Może nawet niedługo, jeśli tylko niektórzy ludzie jej pokroju bez wahania wykonają powierzone im zadania.

Nie wiedziała tylko, czy dożyje tej chwili. Prawdę mówiąc, to mogła zginąć w ciągu paru minut. Nie była fatalistką; nie pragnęła śmierci. Chciała zrobić tuż po wojnie setki rzeczy: skończyć pracę doktorską, urodzić dziecko, pojechać do Nowego Jorku, kupić sportowe auto i wypić szampana na plaży w Cannes. Jeśli jednak, wyrokiem losu, miała za chwilę umrzeć, to pragnęła nacieszyć oczy choćby właśnie widokiem tutejszego rynku, skąpanego w promieniach zachodzącego słońca. Popatrzyła na piękną starą kamieniczkę. W jej uszach cicho brzmiały melodyjne francuskie słowa.

Pałac przez wiele lat był własnością miejscowej arystokracji, ale ostatni *comte de Sainte-Cécile* stracił głowę na gilotynie w roku pańskim tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim. Fantazyjne ogrody zamieniono w winnicę, bo przecież była to ojczyzna wina, samo serce Szampanii. W *château* mieściła się teraz bardzo ważna centrala telefoniczna. Zainstalowano ją tutaj nie przypadkiem — pan minister poczt i telegrafów urodził się w Sainte-Cécile.

Po wejściu Niemców centrala uległa powiększeniu, żeby do starych łączy podczepić nowy kabel, biegnący do Vaterlandu. W obszernych komnatach znalazło się także miejsce dla komendy gestapo. Biura były na górnych piętrach, a katownia — w piwnicach.

Miesiąc temu alianci zbombardowali pałac. Zrobili to z niespotykaną dotychczas precyzją. Warkot ciężkich czterosiłnikowych lancasterów i latających fortec słychać było co noc nad całą Europą, ale bomby rzadko trafiały w

wyznaczone cele. Zdarzało się, że spadały gdzieś hen, poza miastem. Dopiero nowa generacja myślicieli bombardujących, lightningów i thunderboltów, potrafiła także za dnia prześliznąć się przez obronę i zniszczyć coś niewielkiego, na przykład most albo dworzec. Z zachodniego skrzydła *château* został teraz tylko stos nieforemnych siedemnastowiecznych cegieł i prostokątnych białych kamieni.

Niewiele to dało. Szybko naprawiono szkody i przerwa w łączności trwała zaledwie krótką chwilę, do czasu aż Niemcy wymienili rozbite centralki. Większość naprawdę ważnych automatów i wzmacniaczy, niezbędnych do dalekich rozmów, umieszczono w podziemiach, więc nic im się nie stało.

I z tego też powodu Flick była właśnie tutaj.

Pałac stał po północnej stronie rynku, otoczony wysokim ogrodzeniem z kamienia i żelaza. Strzegli go mundurowi. Po wschodniej stronie wznosił się średniowieczny kościół, z szeroko otwartymi drewnianymi drzwiami, aby wpuścić wiernych i choć troszkę letniego powietrza. Naprzeciwko kościoła, od zachodu, stał ratusz zajmowany przez ultrakonserwatywnego mera, który już nieraz miał na pieńku z niemieckimi władzami. Od południa zaś ciągnął się rząd sklepików, z kawiarenką o nazwie Café des Sports. Flick siedziała w ogródku, czekając, aż dzwon ucichnie. Kelner postawił przed nią na stoliku kieliszek miejscowego białego wina, zresztą cienkiego i słabego. Nie wypila ani łyka.

W Anglii miała rangę majora. Oficjalnie była przydzielona do Pomocniczej Służby Kobiet. Dziewczęta z tych oddziałów powszechnie określano skrótem „Pestki”. Ale w jej wypadku chodziło tylko o przykrywkę. W rzeczywistości pracowała dla tajnych służb specjalnych, odpowiedzialnych za sabotaż na terytorium wroga. O śmierć ocierała się już nieraz. Przywykła do niebezpieczeństwa i umiała panować nad strachem, a mimo to, kiedy spoglądała na stalowe hełmy i ciężkie karabiny wartowników, gdzieś na sercu czuła dotyk lodowatego palca.

Trzy lata temu jej największym marzeniem była profesura.

Chciała wykładać literaturę francuską na jakiejś angielskiej uczelni. Chciała zapoznać studentów z żywiołowością Victora Hugo, z dowcipem Flauberta i z pasją Zoli. Na razie przesiadywała w Ministerstwie Wojny, tłumacząc francuskie dokumenty. Pewnego dnia wezwano ją na poufną rozmowę w pokoju hotelowym. Ktoś zadał jej pytanie, czy byłaby gotowa do ryzykowniejszych zadań.

Odpowiedziała „tak”, niemal bez wahania. Wciąż przecież trwała wojna. Wszyscy chłopcy, z którymi niegdyś chodziła do Oksfordu, prawie codziennie ryzykowali życie. Miała być od nich gorsza? Szkolenie rozpoczęła dwa dni po świętach Bożego Narodzenia, tuż przed końcem tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku.

Pół roku później była już kurierem, wożącym przesyłki z kwatery głównej Kierownictwa Operacji Specjalnych, mieszczącej się w Londynie przy Baker Street 64, do grup ruchu oporu w okupowanej Francji. Łączność radiowa w dużym stopniu nie działała, a dobrych łącznościowców było jak na lekarstwo. Flick brała więc fałszywe dokumenty, skakała na spadochronie, kontaktowała się z Resistance, dostarczała rozkazy i notowała wszelkie odpowiedzi, skargi i utyskiwania na brak broni i amunicji. W powrotną podróż zabierał ją samolot, zazwyczaj trzymiejscowy westland lysander, tak mały, że mógł wylądować nawet na skrawku łąki, której długość nieznacznie przekraczała pół kilometra.

Potem awansowała na dywersantkę. Większość agentów służb specjalnych miała insygnia oficerskie, bo sztab wychodził z założenia, że ich „ludźmi” są członkowie oddziałów ruchu oporu. W praktyce żadna grupa nie chciała się podporządkować wojskowej dyscyplinie. Agent musiał na wstępie pozyskać ich zaufanie, udowadniając, że jest twardy, niegłupi i że zna się na dowodzeniu.

Była to niebezpieczna praca. Flick ukończyła kurs w towarzystwie sześciu kolegów i dwóch koleżanek. Dwa lata później już tylko ona pozostała z tej paczki. Dwóch na pewno

zginęło: jeden zastrzelony przez francuską milicję — jak określano znienawidzone siły bezpieczeństwa — a drugi wskutek awarii spadochronu. Pozostałą szóstkę złapano i torturowano. Potem zniknęli gdzieś w obozach jenieckich w głębi Rzeszy. Flick przetrwała, bo była ostra, umiała szybko działać i niemal obsesyjnie dbała o asekurację.

Obok siedział jej mąż Michel, dowódca lokalnej grupy Resistance, znanej pod kryptonimem Bollinger i stacjonującej w odległym o piętnaście kilometrów, zabytkowym Reims. Choć za kilka minut mógł zginąć, wygodnie rozparł się na krześle i założył nogę na nogę. W ręku trzymał wysoką szklanekę, wypełnioną mętym okupacyjnym piwem. Serce Flick podbił swoim beztroskim uśmiechem, jeszcze przed wojną, na Sorbonie, gdy zaczynała pisać pracę o Molierze. Wykładał wówczas filozofię, nosił się z fantazją i zawsze go otaczało grono zachwyconych studentów i studentek.

Flick doszła do wniosku, że nareszcie spotkała najseksowniejszego faceta na świecie. Był wysoki i ubierał się nieco nonszalancko, w wymięte garnitury i spłowiałe niebieskie koszule. Włosy miał zawsze nieco za długie. Mówił uwodzicielskim głosem, a gdy na jakąś dziewczynę skierował baczne spojrzenie jasnoblękitnych oczu, od razu myślała, że jest tą jedyną.

Obecna misja pozwoliła Flick choć trochę pobyc z mężem. Niestety, te parę dni nie należało do udanych. Wprawdzie się nie kłócili, lecz Michel wyraźnie był roztargniony, jakby po cichu myślał o czymś innym. Flick cierpiała z tego powodu. Instynktownie wiedziała, że chodzi o rywalkę. Przecież Michel miał dopiero trzydzieści pięć lat i jego męski urok wciąż działał na młode dziewczęta. Co gorsza, mimo ślubu rzadko przebywali razem. Wszystko przez tę wojnę, pomyślała z goryczą. A tu nie brakowało pięknych, chętnych Francuzek, w ruchu oporu i poza ruchem...

Wciąż go kochała, choć w nieco inny sposób niż zaraz po ślubie. W czasie miesiąca miodowego patrzyła w niego jak

w obrazek. Była gotowa do poświęceń, byle czuł się szczęśliwy. Potem opadła poranna mgła romantycznej miłości i w pełnym blasku dnia małżeńskiego życia zobaczyła go, jakim był naprawdę — płytkim, zapatrzonym w siebie i niekonsekwentnym. Ale gdy tylko spojrzał na nią odrobinę cieplej, znów czuła się najpiękniejsza, wielbiona i wybrana.

Urok Michela działał też na mężczyzn. Gwoli sprawiedliwości, każdy musiał przyznać, że był dobrym dowódcą, charyzmatycznym i odważnym. Do spółki z Flick opracował dzisiejszy plan zamachu. Zamierzali zaatakować z dwóch stron jednocześnie, żeby rozbić obrońców na dwie mniejsze grupy. Potem oddział miał się zebrać w całość, wpaść do piwnicy, znaleźć serce centrali i wysadzić wszystko w powietrze.

Antoinette Dupert, której pomocnice co wieczór sprzątały komnaty pałacu, dostarczyła im plan budynku. Zrobiła to bez wahania, bo była ciotką Michela. Sprzątaczkę przychodziły do pracy na siódmą, w porze niesporów. Flick widziała, że właśnie teraz kilka z nich weszło przez kutą żelazną bramę, pokazawszy przepustki zbrojnym wartownikom. Na szkicu Antoinette widniało zejście do podziemi — i nic poza tym, bo ta część *château* była dostępna wyłącznie dla Niemców i sprzątana przez żołnierzy.

Wywiad brytyjski, MI6, donosił, że centrali strzeże oddział Waffen SS, w sile dwunastu ludzi, zmieniających się trzykrotnie w ciągu doby. Agenci gestapo podobno nie byli szkoleni w walce i większość z nich nawet nie nosiła broni. Oddział szturmowy obwodu Bollinger liczył piętnastu ochotników, wmieszanych w tłumek wiernych idących do kościoła i leniwie przechadzających się po rynku. Broń ukrywali pod ubraniem lub w siatkach z zakupami. Jeżeli wywiad się nie mylił, to zamachowców było więcej niż wartowników.

Mimo to Flick nie umiała opędzić się od złych myśli. Coś ją gryzło. Antoinette, na wieść o raporcie Anglików, zmarszczyła brwi.

— To chyba trochę za mało... — mruknęła.

Mogła mieć rację. Nie była w ciemną bitą. Przez wiele lat pracowała jako sekretarka u znanego producenta szampana, Josepha Leperrière'a. Odeszła stamtąd po wybuchu wojny, bo obroty spadły, Leperrière zbiedniał i na jej miejsce zatrudnił własną żonę.

Michel nie zdołał ustalić, kto był bliższy prawdy; wywiad czy Antoinette. Mieszkał w Reims i ani on, ani nikt z jego grupy nie znał Sainte-Cécile. Brakowało czasu na dokładniejszy zwiad. Flick pomyślała ze strachem, że w razie różnicy sił zamachowcy na pewno nie poradzą sobie z wyćwiczonymi żołnierzami.

Rozejrzała się po rynku, żeby wyłuskać z tłumu znane sobie twarze. Niektórzy z tych pozornie bez trosk przechoźniów czekali tylko, by zginać lub zabijać. Przed pasmanterią stała Geneviève, pozornie zapatrzona w szaroburą tkaninę na wystawie. Była wysoka, miała dwadzieścia lat i pod przewiewnym letnim płaszczem trzymała nabitego stena. Członkowie Resistance preferowali ten typ broni, bo dawał się rozłożyć na trzy mniejsze części i można go było ukryć nawet w damskiej torebce. Może to właśnie Geneviève spotyka się z Michelem? — pomyślała Flick. Zaraz jednak wzdrygnęła się ze strachem. Obie możemy zginać... Chodnikiem, w stronę kościoła, szedł Bertrand — jeszcze młodszy, bo zaledwie siedemnastolatek. Szczupły blondyn o wyrazistej twarzy, z automatycznym coltem kalibru .45, wsuniętym w gazetę, którą niósł pod pachą. Alianci całymi setkami zrzucaли colty na spadochronach. Flick, ze względu na wiek Bertranda, skreśliła go początkowo ze składu grupy szturmowej, ale potem uległa jego ciągłym błaganiom. W gruncie rzeczy potrzebowała każdego do pomocy. Miała tylko nadzieję, że odwaga chłopaka nie zniknie, gdy zagwiżdżą kule. Na schodach kościoła stał Albert. Wyglądał tak, jakby pospiesznie dopalał papierosa. Dzisiaj rano urodziło mu się pierwsze dziecko. Córeczka. Miał zatem dodatkowy powód, żeby nie dać się zabić. W rękę

trzymał wypchaną „siatkę z kartoflami”. W rzeczywistości były to granaty nr 36 Mark I Mills.

Rynek wyglądał całkiem normalnie. Z jednym wyjątkiem. Tuż przy kościele stało wielkie sportowe auto — francuska hispano-suiza, typu 68-bis, z potężnym lotniczym silnikiem V12. Jeden z najszybszych samochodów na świecie. Już z daleka wyzywająco błyszczał chromowaną chłodnicą, ozdobioną figurką lecącego bociana. Poza tym cały był pomalowany na niebiesko.

Pojawił się tu przed godziną. Wysiadł z niego przystojny mężczyzna koło czterdziestki, w gustownym garniturze. Mimo że był po cywilnemu, to na całe kilometry wyczuwało się w nim niemieckiego oficera. Zresztą nikt inny poza Niemcem nie odważyłby się w tych czasach zasiąść za kierownicą takiego samochodu. Oficerowi towarzyszyła rudowłosa piękność w zielonej sukni z jedwabiu i zamszowych pantofelkach na wysokim obcasie. Tak szykowna, jak to tylko potrafią Francuzki. Niemiec postawił aparat na statywie i zrobił kilka zdjęć pałacu. Dziewczyna rozglądała się wyzywająco. Bez wątpienia zdawała sobie sprawę, że wynędniali ludzie, idący do kościoła, myślą o niej najzwyczajniej „dziwka”.

Flick drgnęła przestraszona, gdy w pewnej chwili oficer podszedł do niej i poprosił, żeby mu zrobiła zdjęcie z rudowłosą, na tle zabytkowej fasady. Mówił uprzejmie, z miłym uśmiechem i z ledwie słyszalnym akcentem. Flick aż skręcało w duchu ze zdenerwowania. Że też musiał sobie wybrać właśnie taki moment! Ale nie mogła mu odmówić, zwłaszcza że udawała miejscową dziewczynę, niemającą w niedzielę nic więcej do roboty, jak tylko siedzieć z mężem w ogródku kawiarnianym. Zachowywała się więc tak, jak każdy Francuz zachowałby się w podobnej sytuacji — z chłodną obojętnością wstała od stolika i spełniła prośbę Niemca.

Sytuacja, wypisz, wymaluj, jak rodem z tragifarsy, pomyślała. Hitlerowiec ze swoją flamą z uśmiechem patrzy w aparat

trzymany przez agentkę brytyjskich sił specjalnych, a dzwon kościelny odmierza sekundy do eksplozji... Oficer podziękował grzecznie i zaproponował, że postawi jej kieliszek wina. Odmówiła stanowczym tonem. Żadna Francuzka nie piła z okupantem, jeśli choć trochę dbała o opinię. Niemiec ze zrozumieniem lekko skinął głową, a Flick wróciła do czekającego męża.

Oficer najwyraźniej przyjechał tu na urlop i prawdopodobnie był nieuzbrojony. Nie stanowił zatem żadnego zagrożenia. Mimo to Flick zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Zanim przebrzmiało ostatnie uderzenie dzwonu, doszła do wniosku, że ów Niemiec nie jest zwykłym turystą. Zdradzała go nieokreślona, ledwie uchwytna czujność, zgoła niepasująca do fotoamatora zachwyconego pięknem starej architektury. Ruda lala nie była podstawiona, ale on po cichu czekał na coś więcej.

Dzwon ucichł i Flick nie zdążyła wymyślić nic poza tym.

Michel wychylił resztkę piwa i otarł usta wierzchem dłoni.

Wstali. Niedbałym krokiem podeszli do drzwi kawiarni i zatrzymali się tuż za progiem, zasłonięci przez ścianę.

Dieter Franck od razu zwrócił na nią uwagę. Zauważył ją, jak tylko dojechał do rynku. Miał nosa do pięknych kobiet, a ta była istnym kłębkiem seksapilu. Blondyneczka o zielonych oczach, bez wątpienia z domieszką krwi niemieckiej — co nikogo raczej nie powinno dziwić, skoro mieszkała tutaj, w północno-wschodniej Francji, prawie tuż przy granicy. Do niezgrabnej sukienki, wiszącej na niej jak worek, zawiązała na szyi tanią żółtą apaszkę z bawełny, powiewającą — zdaniem Dietera — w przeuroczym francuskim stylu. Jednym słowem, ładna dziewczyna. Co prawda, drgnęła przestraszona, gdy się do niej odezwał, ale co zrobić, pomyślał, taki już los okupanta... Chwilę potem buńczucznie zacisnęła usta. To też mu się spodobало.

Była w towarzystwie jakiegoś przystojniaka, który niezbyt się nią zajmował. Pewnie męża. Dieter spytał ją, czy mogłaby mu zrobić zdjęcie, wyłącznie po to, by z nią porozmawiać. Wprawdzie w Kolonii pozostawił żonę i dwójkę uroczych dzieci, a w Paryżu dzielił kwaterę ze Stéphanie, lecz wcale nie unikał nowych znajomości. Piękne kobiety przypominały mu obrazy francuskich impresjonistów. Choć miał ich wiele

w swojej kolekcji, wciąż pałał chęcią do następnych.

Francuzki były najpiękniejsze w świecie. Wszystko we Francji było piękne: mosty i bulwary, meble i porcelana. Dieter uwielbiał paryskie kabarety, szampana, *foie gras* i gorące bagietki. Koszule i krawaty kupował w legendarnym *chemisier* u Charveta, vis-à-vis hotelu Ritz. Mógłby mieszkać w Paryżu aż do końca życia.

Nie wiedział, skąd się wzięły jego upodobania. Ojciec był profesorem muzyki — jedynej sztuki, w której to Niemcy, a nie Francuzi, pretendowali do miana mistrzów. Dietera jednak nudził pobyt w konserwatorium. Ku przerażeniu rodziców został policjantem. Niewielu Niemców po studiach wybrało tę posadę. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku był już naczelnikiem wydziału kryminalnego w Kolonii. Rok później, w maju, czołgi generała Heinza Guderiana przekroczyły Mozę pod Sedanem i w tydzień przejechały Francję, zatrzymując się na brzegach kanału La Manche. Dieter, wiedziony wewnętrznym impulsem, zaciągnął się do wojska. Ze względu na swój poprzedni zawód oraz niemałe doświadczenie, od razu trafił do wywiadu. Nagminnie przesłuchiwał jeńców, bo świetnie mówił po francusku i całkiem dobrze po angielsku. Miał niekłamany talent do tej pracy. Był dumny z tego, że zdobył wiele informacji, pomocnych dla przełożonych. Za jego sprawą wygrywano bitwy. Nawet Rommel w północnej Afryce wyrażał się o nim z uznaniem.

Dieter nie stronił od tortur, żeby wymóc zeznania, lecz na co dzień wolał subtelniejsze metody. W ten właśnie sposób dotarł do Stéphanie. Przed wojną była niezależną, namiętną i rzutką właścicielką modnego butiku w Paryżu. Sprzedawała głównie damskie kapelusze, eleganckie jak diabli i horrendalnie drogie. Miała jednak babkę Żydówkę. Straciła sklep i pół roku przesiedziała we francuskim więzieniu. Dieter uratował ją przed wywiezieniem w głąb Niemiec, do obozu.

Mógł ją zgwałcić. Z pewnością właśnie tego się po nim

spodziewała. Nikt by nawet nie zaprotestował, nie mówiąc już o karze. Ale Dieter wybrał inne rozwiązanie. Nakarmił ją, kupił parę nowych sukienek i oddał jej wolny pokój w swoim paryskim mieszkaniu. Zalecał się do niej ostrożnie, aż pewnego wieczoru, po kolacji z *foie de veau* i butelce *la tache*, uwiódł ją na kanapie, przed płonącym kominkiem.

Dziś miała mu posłużyć jako część kamuflażu. Znowu pracował dla Rommla. „Lis Pustyni”, czyli marszałek polny Erwin Rommel, był obecnie dowódcą Grupy Armii B, rozlokowanej w północnej części Francji. Wywiad niemiecki ostrzegał, że jeszcze tego lata nastąpi atak aliantów. Rommel nie miał dość ludzi, żeby nimi obsadzić setki kilometrów wybrzeża. Wybrał więc zuchwałą i zgola niekonwencjonalną metodę obrony: swoje bataliony cofnął w głąb kraju i trzymał je w gotowości, aby w razie potrzeby szybko przerzucić wojska do strefy zagrożenia.

Brytyjczycy wiedzieli o tym. Też mieli swoich szpiegów. Postanowili odciąć Rommla od wszelkich środków łączności. Dniem i nocą amerykańskie i angielskie samoloty bombardowały drogi, mosty, szlaki kolejowe, tunele, stacje i nastawnie. W tym samym czasie ruch oporu wysadzał elektrownie i fabryki, rozkręcał szyny i przecinał druty telefoniczne. Kilkunastoletnie dziewczynki wsypywały śmieci do zbiorników paliwa czołgów i ciężarówek.

Dieter miał za zadanie zapoznać się z obroną kluczowych węzłów komunikacyjnych i ocenić zdolność do odparcia ataku grup *Resistance*. Przez parę ostatnich miesięcy rzadko bywał w Paryżu. Wciąż jeździł po północy kraju, krzyczał na sennych strażników, straszył leniwych kapitanów i wzmacniał ochronę stacji rozdzielczych, parowozowni, parkingów i wież kontrolnych. Dziś postanowił niespodzianie zajrzeć do centrali telefonicznej o wyjątkowym znaczeniu strategicznym. Przez pałac w Sainte-Cécile biegły wszystkie linie łączące kwaterę główną w Berlinie z niemieckim dowództwem w północnej Francji. Dotyczyło to także teleksu, którym przesyłano

większość ważnych rozkazów. Gdyby centrala uległa zniszczeniu, łączność zamarłaby na wiele godzin.

Alianci też zdawali sobie z tego sprawę. Z mizernym powodzeniem usiłowali zbombardować pałac. Za to ruch oporu miał pole do popisu. Dieter stwierdził, że centrala praktycznie nie jest broniona. Działo się tak pewnie za sprawą gestapo, rezydującego w tym samym budynku. Nazistowska bezpieka, czyli Geheime Staatspolizei, składała się głównie z ludzi, którzy ślepo wierzyli w faszyzm, słuchali Hitlera i wcale nie musieli być sprytni ani mądrzy. Dieter uwijał się pod pałacem przez ponad pół godziny, robił zdjęcia i aż kipiał z gniewu, bo pies z kulawą nogą nim się nie interesował.

Wreszcie, kiedy dzwon zamilkł, oficer gestapo w mundurze majora wybiegł przez bramę pałacu i pospieszył w stronę Dietera.

— Oddawać aparat! — krzyknął łamaną francuszczyzną.

Dieter stanął tyłem do niego, udając, że nie słyszy.

— Idioto, nie wolno fotografować *château*! — darł się gestapowiec. — Nie widzisz, że to obiekt wojskowy?

Dieter powoli się odwrócił.

— Cholernie długo trwało, zanim ktoś mnie tu zauważył

— powiedział cicho po niemiecku.

Tamtego замуrowało. Na ogół widok gestapowca budził strach w każdym cywile.

— Co takiego? — zapytał spokojniejszym tonem.

Dieter spojrział na zegarek.

— Jestem tutaj od trzydziestu dwóch minut. Mogłem zrobić co najmniej tuzin zdjęć i już dawno odjechać. Kto dowodzi ochroną pałacu?

— Kim pan jest?

— Major Dieter Franck, osobisty doradca feldmarszałka Rommla.

— Franck! — zawołał gestapowiec. — Znam cię!

Dieter przyjrzał mu się uważniej.

— O mój Boże... — jęknął, przypomniawszy sobie, gdzie

widział już tę gębę. — Willi Weber.

— *Sturmbannführer* Weber, do usług. — Jak większość wyższych rangą agentów gestapo, Weber był także oficerem SS i bardziej to sobie cenił niż stopień w policji.

— Niech mnie szlag trafi... — Dieter westchnął. Nic dziwnego, że ochrona centrali kulą.

W latach dwudziestych obaj pełnili służbę w policji w Kolonii. Dieter piął się w górę, a Weber zostawał w tyle. Dusił się z zawiści i uważał po cichu, że to wszystko kwestia lepszego pochodzenia. (Wprawdzie Dieter nie był jakoś szczególnie uprzywilejowany, ale Weber mógł mu zazdrościć, bo sam był synem sztauera).

W końcu Webera wylali. Dieter przypomniał sobie szczegóły tamtej afery. Była kraksa, zgromadził się tłum gapiów, Weber wpadł w panikę, zaczął strzelać i zabił przygodnego przechodnia.

Nie widzieli się od piętnastu lat, lecz Dieter mógł sobie wyobrazić jego dalsze losy. Weber bez wątpienia zapisał się do partii, aktywnie działał na rzecz Hitlera i na ochotnika zgłosił się do gestapo. Przyjęto go choćby ze względu na policyjną przeszłość. Potem zrobił karierę wśród podobnych mu „bohaterów”.

— Co ty tu robisz? — spytał Weber.

— Sprawdzam stan bezpieczeństwa, z rozkazu feldmarszałka.

Weber nastroszył się.

— Dbamy o ochronę!

— Dbacie, jakbyście siedzieli w masarni. Popatrz tylko. — Dieter zatoczył krąg ręką, wskazując na rynek. — A jeśli ci ludzie są z ruchu oporu? Rozwał twoich strażników dosłownie w parę sekund. — Zerknął na wysoką dziewczynę w przewiewnym letnim płaszczu. — A jeśli ona ma broń za pazuchą? Co wtedy...

Urwał.

Nagle pojął, że jego przypuszczenia wcale nie są fantazją.

Intuicyjnie wyczuł, że ludzie na rynku rzeczywiście szykują się do jakiejś akcji. Drobna blondynka wraz z mężem ukryła się w kawiarni. Dwaj mężczyźni koło kościoła stanęli za filarami. Dziewczyna w letnim płaszczu odeszła od wystawy i zatrzymała się tuż obok jego samochodu. Dieter popatrzył na nią ze zdumieniem. Lekki podmuch wiatru rozchylił jej połę płaszcza. Cholera, czyżbym był wróżbitą? — pomyślał, gdy zobaczył pistolet maszynowy z ażurową kolbą. Ulubiona broń Resistance.

— O mój Boże! — powiedział na głos.

Odruchowo sięgnął pod marynarkę, lecz przypomniał sobie, że jest nieuzbrojony.

A gdzie Stéphanie? Rozejrzał się z przerażeniem, na skraju paniki. Na szczęście stała tuż za nim, cierpliwie czekając, aż skończy rozmowę z Weberem.

— Padnij! — krzyknął.

W tym momencie huknęło.